Nr. 43 Rok 4 Kraków, dnia 24 października 1943. 40 gr.

Ilustrowany KUR... ...LSKI



PIERWSZA MIŁOŚĆ

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

Fot: Ilse Steinhoff

CZTERY LATA GENERALNEGO GUBERNATORSTWA



Generalny Gubernator, minister Rzeszy dr. Frank

W dniu 26 października 1939 roku, dokładnie przed czterema laty Rzesza Niemiecka objęła zarząd Generalnego Gubernatorstwa. W ciągu całego tego okresu czasu pracowano energicznie i gorliwie nad odbudową kraju. Wiele tysięcy rąk stanęło do pracy twórczej pod kierownictwem Niemców i ich uczciwy, produktywny trud znalazł pełne uznanie. We wszystkich dziedzinach życia zawrzała gorączkowa, owocna praca. Wybrukowano wiele dróg i placów w licznych miejscowościach. Rozwijano ciągle organizację czuwającą nad zdrowiem ogółu ludności. Życie gospodarcze rozbudowuje się w dalszym ciągu i dzięki temu, jak również dzięki całokształtowi swej działalności Generalne Gubernatorstwo bierze również wydatny udział w ogólno-europejskiej pracy nad odnową Europy i dopomaga przez to także do skutecznego oporu nawale bolszewizmu.

Fot. Archiwum IKP 25, Bil 2.

NAJMŁODSI Z OJCZYZNY CZARDASZA



CÓŻ TO ZA EGZOTYCZNA POSTAĆ!
Ani syn kacyka z archipelagów słonecznej Oceanii, ani wioskowy nasz drużba — tylko „młody człowiek" w regionalnym nakryciu głowy z małej węgierskiej wioski.



Na prawo:
MŁODOŚĆ UŚMIECHEM KRASI LICA
Wesoło spogląda ta mała dziewczynka w świat, gdyż już wie, że jest piękną.



Dziecięce spojrzenie w świat — jest, jak „świat długi i szeroki", wszędzie takie samo. Ciekawość, chęć zwrócenia za wszelką cenę wyłącznej uwagi na siebie, wrodzona żywość, pewna doza kokieterii, wielka „ważność" swej osoby, oto cechy wspólne, zda się, dzieciom całego globu.

Gdy do tego kompletu dziecięcych właściwości dodamy „ramy" w znaczeniu ubioru, mamy wspaniały kalejdoskop barwnych i ruchliwych figurek-typków, biorących nas za serce i przykuwających faktycznie nasze spojrzenie.

Specjalnie obserwować warto pod tym względem dziatwę węgierskiej wsi, stanowiącą w swym regionaliźmie ludowych, tradycyjnych, niejednokrotnie bardzo efektownych, choć może i nieco niezwykłych strojów, prawdziwy „pokaz kostiumowy" niby jakiejś dziecinnej rewii czy balu.

Powłóczyste koszulo-siermięgi o kolosalnie szerokich rękawach, maleńkie, ledwie czubek głowy nakrywające, a nieproporcjonalnie wysokie kapelusze-meloniki z kiścią piór, fartuchy, do piekarskich bardzo podobne, ale bogato zdobne w wyszywania i hafty, długie, falbaniastokloszowe spódnice — oto obraz „zewnętrznego fasonu" młodocianych obywatelek Mözekövesol, zamorusanych pociech z Szentistvany, rezolutnych „gosposi" z Sarköz, i wszędobylskich „mędrków" z siół i wioseczek rozsianych pośród słonecznych pagórków zielonych winnic.

Radośni, roześmiani, psotni i niezmordowani w wymyślaniu wciąż nowych figlów i kawałów, dumni ze swych obyczajów i „wiadomości" — najmłodsi z krainy puszty.

Stefkra

Na prawo w kole:
EJ, TOŻ DOPIERO BĘDĄ NOWINKI!
Któż nie byłby ciekaw słyszeć, o czym to rozprawiają „goście", do wsi przybyli? Wypada się przecie przysłuchać i z góry zrobić wesołe miny.





Na lewo:
MŁODZIEŃCY Z PÓŁNOCNYCH WĘGIER NA PRZECHADZCE
W swych barwnych i malowniczych strojach ludowych są uosobieniem tak bardzo w węgierskim państwie szanowanej tradycji i narodowego konserwatyzmu.



Fot: Ilse Steinhoff



Powyżej w kole:
CZY NIE JESTEM INTERESUJĄCA!
pyta mała, uśmiechnięta mieszkanka wioski Tard.

Na lewo:
TRZY MŁODE „GRACJE" Z SARKÖZ
Margit, Ilonka i Julika, nieodłączne przyjaciółki, w drodze do kościoła śmieją się zadowolone z siebie i swych ładnych ubiorów, w których im bardzo „do twarzy".



Na prawo:
CZEMU TAKA ZAFRASOWANA MINKA!
Czyż przybycie obcych do wsi Szentistvany, w półn. Węgrzech, to nie okazja do nieufnego spojrzenia? Takie odwiedziny tak rzadko ma sposobność zaobserwować mała Julika.

Poniżej:
TRZEBA PRZECIEŻ ZROBIĆ SPRAWIEDLIWY PODZIAŁ!...
Jeszcze dla ciebie, i dla ciebie też, i dla mnie teraz także... Bo każda z dziewcząłek musi otrzymać równą ilość wspaniałych, soczystych winogron... Czyż nie tak?



Z życia naszych rodaków w Rzeszy



Wesoła grupa polskich robotników i pracownic pewnego wielkiego przedsiębiorstwa w jednej z najpiękniejszych okolic bogatych w winnice, nad dolnym biegiem Dunaju.

Kilka dni temu przebywała w Niemczech komisja, złożona z przedstawicieli różnych zawodów w Generalnym Gubernatorstwie, udając się w różne strony Rzeszy dla wyrobienia sobie pojęcia o sposobie życia, codziennej pracy, oraz traktowania swych rodaków, którzy tu są zatrudnieni jako pracownicy przemysłowi, rolni lub rzemieślnicy.

Komisja zwiedziła liczne warsztaty pracy, kolonie mieszkalne, kuchnie, urządzenia sanitarne, rozmawiając z robotnikami na temat ich wrażeń i doświadczeń. Ogólnie dano wyraz sądowi, że wprawdzie wymaga się od robotnika dużo, ale nie niemożliwości. Czas pracy jest ściśle ustalony i w żadnym wypadku nie przekracza czasu zajęć robotników niemieckich. — Miejsca pracy są czyste, jasne, przewiewne, przyuczanie spoczywa w rękach najbardziej doświadczonych fachowców. Robotnicy, gdziekolwiek są zatrudnieni w przemyśle, umieszczeni są w schludnych, obszernych barakach mieszkalnych, 8—10 ludzi w jednej dużej izbie, gdzie najczęściej dobierają się mieszkańcy jednych stron.

Każdy robotnik posiada czyste łóżko, zamykaną szafkę oraz możność zabezpieczenia prywatnej swej własności.

W pośrodku każdej izby mieszkalnej stoi duży stół, otoczony odpowiednią ilością krzeseł; okna są duże, ubrane skrzynkami z kwiatami, wszędzie światło elektryczne, a w wielu wypadkach o p a l a n i e centralne. Gdzie nie ma tego ostatniego, stoi duży piec. Każdy kompleks baraków dysponuje nowocześnie urządzoną kuchnią, wydającą 5 razy dziennie posiłek, ze szczególnym uwzględnieniem ciężko pracujących.

5 razy w tygodniu bywa mięso, zupa, chleb i jarzyny, a wedle możności i owoce, wszystko suto i smacznie podane.

W południe i wieczorem nabyć można piwo, papierosy wydawane są w ilości przewidzianej na. odcinku karty tytoniowej.

W każdym obozie robotniczym wybiera się spośród pracowników ludzi zaufania, czuwających nad pełnym przydziałem racyj żywnościowych i uwzględnianiem wedle możliwości życzeń robotników.

Ubikacje umywalniano-natryskowe z zimną i ciepłą wodą są w każdej partii mieszkalnej, jest też barak lazaretowy, stojący pod pieczą sił fachowych, przeznaczony dla lżej chorych. Poważniej chorzy oddawani są do miejscowego szpitala.

Czas wolny spędzają robotnicy nasi albo na przechadzkach, w kinie, albo na ćwiczeniach sportowych, jużto na grach towarzyskich, lub w teatrze czy na produkcjach muzycznych, na pisaniu listów czy też czytaniu dzienników.

Specjalna służba barakowa i wszędzie będąca do dyspozycji pralnia dbają o czystość ubikacyj mieszkalnych i bielizny.



Wszędzie, czy to na placówkach pracy, czy też między barakami mieszkalnymi, panuje wzorowa czystość.



Dwaj „mężowie zaufania" jednego z polskich obozów pracy, którym powierzono nadzór nad sprawnym funkcjonowaniem życia zapośredniczonych do pracy rodaków.



Każdy większy obóz zaopatrzony jest w tucznię świń, doznającą szczególnie pieczołowitej opieki od wszystkich.



Oto parka, — która zapoznała się w obozie pracy.

Tym sposobem życie polskich sił roboczych w Rzeszy Niemieckiej płynie nad wyraz normalnie i wzorowo. Oszczędności, niemal przez każdego czynione, są albo wpłacane na konto oszczędnościowe, albo stosownie do życzenia przekazywane do kraju na ręce rodziny.

Fot: Zel.



Mała grupka przed oknem baraku mieszkalnego.



Własne warsztaty w obozach dbają o odzież i niezbędne potrzeby robotników.



Każdy obóz pracy posiada obszerny barak szpitalny, w którym pielęgnuje się chorych pod fachową opieką lekarską.



Nasze robotnice urządziły sobie gustownie mieszkanie: Kwiaty, małe obrazki, robótki — tworzą obraz wygody. Zainstalowane urządzenie ogrzewania centralnego darzy miłym ciepłem w chłodnych porach roku.

3. ciąg dalszy



Miały szerokie, fałdziste muślinowe białe spódnice ozdobione kilkoma plisami z kolorowego jedwabiu. Miały ciasno zasznurowane gorseciki, z czarnego aksamitu, gęsto wyszywane paciorkami i świecidełkami. Miały kilka rzędów korali na szyi, pęki różnobarwnych wstęg spadających im z głowy na plecy poniżej pasa i zgrabne trzewiki na wysokich czerwonych obcasach.

A obie były nader urodziwe.

Ta wyższa, czarnooka brunetka z brzoskwiniową cerą, uśmiechnęła się do dzieci olśniewająco białymi i równymi jak perły zębami, a ta druga — blondynka ze ślicznymi fiołkowymi oczami i bardzo jeszcze młodziutka — jakby onieśmielona widokiem wyelegantowanej panny Lili, schowała się wstydliwie za plecy swej towarzyszki.

Bona krytycznym spojrzeniem obrzuciła zgrabne postacie dziewcząt i spytała się opryskliwie:

— A wy tu po co?

— My w jenteresie do pana dziedzica. Przyszłyśmy przed kwadransem, to i czekamy na niego.

— Ale nie tutaj. Tutaj czekać nie można.

— To gdzież mamy czekać?

— Na dworze, albo gdziekolwiek.

A Zaza dorzuciła.

— Najlepiej jest czekać na tatusia w kancelarii.

— A bo my tam wiemy gdzie ta kancelaria? Tutaj drzwi były otwarte tośma weszły.

— Czy wy nie tutejsze? Czy jak?

— Tutejsze. Ale my gospodarskie córki jesteśwa. My tutaj do dworu nigdy nie przychodzimy.

— Więc czego chcecie? — indagowała bona.

— A to za przeproszeniem, Szymon Pazdurski zaprosił nas na swoje wesele z Tereską.

— A więc żenią się?

— Co nie mają się żenić? Żenią się, ale Szymon, jak obrachował wszyćkie wydatki, to powiedział, że mu pieniędzy na muzykantów nie starczy. A potem kazał nam wystroić się pięknie, przyjść tutaj i pokornie poprosić pana dziedzica.

— To czemuż sam nie przyszedł?

— Tego my nie wiemy — wzruszyła ramionami ta wyższa brunetka. — On powiadał, że mu jest głupio ciągle się o coś upominać i wolał . . .

Lecz nie skończyła zdania. W tej samej chwili pan Jan ukazał się na przeciwległym końcu korytarza.

Na jego widok panna Lili odwróciła się od dziewcząt i ciągnąc za sobą małą Golę weszła do dziecinnego pokoju.

— Cóż za strojne i piękne druhny — mówił tatuś, podchodząc do dziewcząt i pogłaskując je po głowach. — Tak to lubię. Aż oczy wyskakują do tych prześlicznych kolorów. Na koniec zrozumiałyście, głupie, że nie należy zarzucać ludowych stroi. Poprzebierane za mieszczki wyglądacie jak postrachy na wróble.

Z czarującym uśmiechem na ustach wysłuchał paplaniny tej wyższej i śmielszej brunetki. Spochmurniał, gdy zażądała pieniędzy i wykrzyknął.

— Co? Jeszcze pieniędzy? Ten łajdak Pazdurski naciąga mnie na wszystkie sposoby. Onegdaj najpiękniejszą krowę wyprowadził mi z obory, a teraz jeszcze mu mało? Przecież mnie zapewniał, że starczy mu już na wszystko. Końca nie widać.

— No to jakżeż będzie?

— Będzie bez muzyki i już.

— O rety — skrzywiła się dziewczyna. — Nawet tamoj iść nie będzie warto. Wesele bez muzykantów, to tak jak pochówek bez księdza.

Pan Jan uśmiechnął się.

— Widzę, że muzyki ogromnie się wam zachciewa — udobruchał się. — No, trudno! Cóż poradzić? Chciałybyście pohasać, więc nie mam serca odmówić takim dwom ładnym pannom.

Uszczypnął brunetkę w rumiany policzek i dodał:

— Ale nie darmo. Jeżeli chcecie koniecznie pieniędzy na muzykantów, to trzeba przyjść do mnie pod wieczór. I nie tutaj, ale tamtędy od strony kancelarii.

— Obie?

— No nie. Jedna wystarczy . . .

— A która — parsknęła śmiechem brunetka.

— Przyznaję, że wybór jest trudny. I ta ładna i ta ponętna. Ale czegoś ta mała blondyneczka jakby mnie więcej ujmowała. Takie ma niewinne oczęta. Taka jakaś nieśmiała, wstydliwa.

— Ale ona jeszcze trochę za bardzo młoda — chichotała brunetka. — Ona jeszcze nie wiele rozumie. Jeszcze z niczym nie obznajomiona.

— A ty obznajomiona?

— Co nie mam być . . . Bo mi to pierwszyzna?

— No to doskonale. Kwituję z blondyneczki. A jak ci na imię?

— Maryśka.

— Ładne imię, a ty również ogromnie mi się podobasz. Ząbki masz prześliczne . . .

I jeszcze coś szeptał pocichuteńku.

ATAK HISTERII

Tymczasem panna Lili — pozostawiając poza sobą uchylone drzwi — podeszła do lustra i z wielkim roztargnieniem zdejmowała z głowy kapelusz.

— Niech mi pani guziły poodpina — prosiła Gola, więc przyklękła przy dziewczynce i zdjęła z niej szubkę.

— Kalosze możesz sobie sama zdjąć— burknęła.

Odwróciła się w stronę okna i stała tak nieruchomo przez dłuższą chwilę. Najwyraźniej podsłuchiwała to co się mówiło na korytarzu.

Poczerwieniała, a oczy jej ciskały błyskawice i pioruny.

Po pewnym czasie pochyliła się nad Zbyszkiem i nerwowymi plączącymi się palcami zaczęła rozpinać jego paltocik.

— Stój spokojnie, smarkaczu! Nie kręć się — irytowała się i potrząsała chłopczykiem jak workiem plew.

— Co się pani tak szarpie — zaprotestował malec.

— Milcz — wrzasnęła.

I wymyślała mu:

— Ty łobuzie spod ciemnej gwiazdy jeszcze będziesz mi tutaj pyskował. Nauczę ja ciebie rozumu, nie bój się. Zamknę cię na całą noc w piwnicy. Szczury żywcem cię tam zjedzą. Ależ nieznośny. Ot i znowu oberwał guzik pod brodą.

— Pani sama go teraz oberwała.

— Co? Kłam mi zadajesz?

I nagle palnęła malca w twarz.

Oniemiał z oburzenia.

W tej samej sekundzie Zaza, jak rozjuszona pantera broniąca swego potomstwa, rzuciła się na bonę z pięściami.

— Jak pani śmie — wrzasnęła. — Nie wolno bić Zbyszka! Ciocia Tunia nie pozwala bić Zbyszka, ani Goli, ani nikogo.

— Won! Odczep się ode mnie, ty złośnico — odepchnęła ją panna Lili od siebie.

I mamrotała:

— Dużo mnie tam obchodzi ta twoja ciocia Tunia. Niechaj sobie gada co sama chce, a ja właśnie wcale jej słuchać nie będę. A będę biła ile wlezie.

— Zobaczymy — stawiała się hardo dziewczynka, wlepiając w bonę wyzywające spojrzenie.

— O jak się tu na mnie wyżwirza! Tobie też należałoby wlepić parę dobrych klapsów.

— Niech pani spróbuje.

— A właśnie spróbuję.

Spróbowała. Schwyciła Zazę za kark i waliła w co popadło.

— Haaa masz! Haaa masz! — dyszała z pasją.

Piekło.

Mała Gola, zdesperowana i wystraszona, ryknęła wielkim płaczem, a Zbyszek skoczył Zazie na pomoc.

Kilka krzeseł przewróciło się z ogromnym hałasem. Parawan zwalił się na umywalnię, tłukąc miednicę i dzbanek.

— Co się tu dzieje? Cóż tu za jakieś beki, wrzaski, piski, brzęki? — wsadził głowę pan Jan w uchylone drzwi.

A panna Lili, na jego widok, wrzasnęła nieludzkim głosem, puściła Zazę, schwyciła ze stołu ciężki metalowy kałamarz i z całym rozmachem cisnęła mu w głowę.

Skaleczony w czoło i zalany atramentem tatuś stracił również panowanie nad sobą. Jednym susem przyskoczył do rozwariowanej panny Lili, schwycił ją za kark i dopomagając sobie kolanem wyrzucił ją z pokoju.

WIDMO ŚMIERCI

Źle. Bardzo źle.

Biedna panna Lili ciężko zasłabła po takim przejściu.

Już od dwóch dni nie rusza się z pościeli. Leży na wznak pod mamusiną żółtą atlasową kapą. Płacze całymi godzinami. Stęka. Jęczy. Wije się z bólu. I mówi, że umiera.

— A niechby naprawdę umarła — robił sobie nadzieję Zbyszek.

Co chwila podbiegał na paluszkach pod zamknięte drzwi jej pokoju i nasłuchiwał w napięciu.

— Jeszcze żyje — wzdychał z rozczarowaniem.

Ale mała Gola, która w braku matczynych pieszczot przywiązywała się łatwo do swoich bon, była zdesperowana.

Przypominała sobie śmierć ulubieńca kotka i mówiła:

— Ja nie fcę, ja nie fcę zeby i ona zdechła . . .

Walerka była we wściekłym humorze.

— A juści — mamrotała pod nosem. — Jo tam nie mam głowy, ani czasu na cackanie się z chorymi. Już rady dać sobie nie mogę tyle z nią kramu. A przynoś, a wynoś, a dźwigaj, a wąchaj, a podaj. Taką grymaśnicę to jo bym kijem z łózka wygnała. Niechaj sobie kona gdzieniebądź pod płotem.

— Ale tatuś, to jej chyba nawet i po śmierci nie wybaczy tego kałamarza — zastanawiała się Zaza.

Okazał się jednak prawdziwym chrześcijaninem i wspaniałomyślnie wybaczył jej wszystko.

Odwiedzał konającą. Uspokajał. Pocieszał. Znosił jej konfitury, karmelki, a gdy nie skutkowało sprowadził do niej starego doktora Berensa z miasteczka.

A czas był wielki.

Panna Lili utrzymywała, że trzeciej nocy już nie przetrzyma.

— Nic jej nie jest — zapewniał doktór ciocię Tunię. — Ot atak histerii. Nie często miałem sposobność widzieć równie niezrównoważoną osobę.

Poprawił okulary na nosie i mówił dalej.

— Nie chciałbym się wtrącać w nie swoje rzeczy i krzywdzić pracującą panienkę, lecz uważam za swój obowiązek przestrzec panią, że ta bona wcale się nie nadaje do dzieci. Moim zdaniem, to jest osoba niepoczytalna, niebezpieczna.

— Ot stary ględa — wzruszył tatuś ramionami gdy mu ciocia Tunia powtórzyła słowa doktora.

ZAPROSINY

W pierwsze święto Wielkanocne Szymon Pazdurski zjawił się we dworze. Odziany był odświętnie. Sprawił sobie nowe szaro-bure ubranie. Suto namaścił słoniną swe siwiejące rzadkie kosmyki włosów i buty, a także ogolił się do czysta, co uwydatniało w sposób odrażający jego guz i szpetotę.

Przestępując z nogi na nogę, oznajmił Walerce, że chce się widzieć z panem dziedzicem i będzie czekał na niego w kredensowej sieni.

Chciał go poprosić na swoje wesele z Tereską.

— Cholera — zaklął pan Jan. — Czepił się mnie jak rzep krowiego ogona.

I wcale mu pilno nie było wychodzić do gajowego.

— Niech czeka.

— Was też będzie prosił — oznajmiła dzieciom Walerka.

— A czy nie będzie całował — zaniepokoiła się mała Gola.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

— Co też w głowie u takiej smarkatej? Nie ciebie, głupia, będzie on tera całował, a Tereskę.

I splunęła.

— Tfuj! Okropa! Nie zazdroszczę jej tych smaków.

— Jakich smaków? — zaciekawiła się Zaza.

— A tych małżeńskich. Jaże w dołku me ściska jak sobie pomyślę o tej jego zajęczej wardze.

Tatuś, bardzo niechętnie, wyszedł w końcu do gajowego. Mówił, że sam być na weselu nie może, gdyż musi jechać w sąsiedztwo, lecz obiecał solennie, że dzieci będą.

Wprawdzie ciocia Tunia była zdania, że dzieci wcale tam niepotrzebne na tej zabawie.

— Nie będę mogła im towarzyszyć — tłumaczyła — Muszę iść na wieś do chorej Parasiakowej.

— Pójdą z boną albo z Walerką.

— Chłopy się popiją.

— Ot wielkie rzeczy — wzruszył ramionami. — Obiecałem! Trudno.

No i zdanie ojca przemogło, a dzieci były uradowane. Obiecywały sobie dużo przyjemności. Wszak Walerka obiecywała, że — „każda muzyka to zabawna zabawa".

W OCZEKIWANIU

W sam dzień wesela dzieci, bardzo podniecone, siedziały w jednym z okien salonu i stamtąd wypatrywały powrotu weselników z parafialnego kościoła.

Były już odpowiednio wystrojone.

Dziewczynki miały na sobie prześliczne, białe haftowane sukienki, a Zbyszek coś jakby krakowskie ubranko, też białe, przepasane szerokim skórzanym czerwonym pasem nabitym metalowymi gwoździami i brzękadłami.

Bardzo był dumny z tych brzękadeł, więc co chwila poruszał się w taki sposób żeby jak najwięcej hałasu nimi narobić.

— Nieznośny! Siedź spokojnie — denerwowała się Zaza.

A mała Gola niecierpliwiła się i pytała co chwila:

— Kiedyż oni przyjadą?

Przyjechali w końcu.

Nagle zaturkotało na twardej drodze poza sztachetami i trzy wozy, umajone zielonymi gałązkami i przyozdobione pękami furkających z wiatrem papierowych wstęg, ukazały się na zakręcie.

Zapracowane fornalskie szkapy — użyczone przez pana dziedzica pod orszak weselny — jakby rozumiejąc, że trzeba się dziś sprezentować i smagane batami przez powożących wyrostków pędziły galopa.

— Jadą! Jadą! — wrzeszczały dzieciaki.

A jechali z wielką paradą. Z muzyką na czele.

— Dylu, dylu — dylu, dylu — zawodziły skrzypki na najcieńszej strunie, a basetla wtórowała grubym basem: — przerżnę brzuch! Przerżnę brzuch . . .

I znowu skrzypki protestowały oburzone:

— Oj nie przerzynaj brzucha, bom ja chwacka dziewucha.

A na wozach aż gęsto było od ludzi. Kto gdzie mógł to się wtłoczył. Głowa przy głowie, ramię przy ramieniu. A nogi, co się już nigdzie pomieścić nie mogły, fryndały po bokach wozów.

I znowu dylu, dylu . . . Ale cóż? Muzyka swoje, a ludziska swoje. Jakaś podstarzała babina piszczała ochrypłym głosem:

„Ożeniłem się, nie radziłem się,
parszywa była, zaraziłem się."

A inna jeszcze coś innego wyśpiewywała.

„Miała baba koguta, koguta, koguta
Wsadziła go do buta, do buta."

I jeszcze:

„U pana młodego jest pieniędzy dużo."

Ale kto by tam zliczył i zapamiętał te wszystkie piosenki.

Wesoło. Zabawnie.

Dzieci podskakiwały w oknie z uciechy i z ogromnym zaciekawieniem wypatrywały panny młodej.

— A gdzież się Tereska podziała — niepokoił się Zbyszek.

Przejechali.

Po chwili wpadła Walerka. Ona też do parafii jeździła, a teraz zabiegła po dzieci. Panna Lili kategorycznie orzekła, że żadna siła ludzka nie zmusi jej do pójścia na Pazdurskiego wesele. Nie mogła mu zapomnieć uszczypnięcia.

— Spieszta się smarkacze — przytupywała pokojówka nogami.

Nie chciała stracić ani jednej chwili z tej całej zabawy.

— A dlaczegóż to Tereska nie jest dzisiaj w welonie i w wianku — dopytywała się Zaza.

— A juści! Jeszcze komu wianek? Już by chyba wstydu nie miała.

Nasze lato wróci

Jesień, już astry pod oknami kwitną
wśród drzew gałęzi czai się tęsknota
niebo straciło swą barwę błękitną
a słońce przepych złota.

Żal letnich, cudnych, kolorowych wspomnień
szarość i smutek gdzieś w powietrzu wisi
i tak coś duszę tłoczy przeogromnie
a ludzie chodzą zgaszeni i cisi.

Jesień, z drzew liście opadają rdzawe
jak bólem pokurczone i powiędłe serca
lecą z cichym westchnieniem na spłowiałą trawę
i układają się na niej stubarwnym kobiercem.

I płaczą jarzębiny krużą swoją czerwoną
a brzoza ręce łamie że . . . zgubiła włosy
że lato przeminione, że szczęście już prześnione
że z wszystkich kwiatów tylko zostaną wrzosy.

A wiatr szlochając głośno po świecie wieści niesie
że minął czas uniesień
że przyszedł spleen i wrzesień
że to już jesień . . . jesień . . .

Czy my będziemy także tęsknili tak za latem
gdy serca nam dojrzały, miłością przebogate?
Czy rezygnacja także na oczy cień nam rzuci?
Drogi! my wiemy przecież . . . że nasze lato wróci!

K. Wodnicka

— Dlaczego?
— Dlatego.

Raptem przysiadła na łóżeczku małej Goli. Zrzuciła z nóg czarne lakierowane pantofelki, podarowane jej przez pannę Lili, i zaklęła przez zęby:

— Ciasne cholery co aż! Też prezent. Tyla się przy niej naharowałam podczas choroby, a uraczyła me starymi pantoflami. Ale chyba je za płot wyciepię, bo już w nich wytrzymać nie mogę. Nogi me całkiem popuchły. Myślałam, że zemdleję w kościele.

WESELE

Pod czworakami roiło się od ludzi. Każdy był ciekaw zobaczyć, a szczególniej nasłuchać się muzyki, więc proszony, czy nie proszony, pchał się do sionek.

— Bum, bum, bum — bum, bum, bum huczał bęben, aż się trzęsło powietrze.

Tańczono polkę.

Kupa brudnych i na wpół nagich bachorów obsiadła płoty. Pomiędzy nimi było sześcioro dzieci Pazdurskiego. A łatwo je było poznać. Wszystkie odziedziczyły po ojcu zajęczą wargę.

— Boję się ich, boję — mówiła Gola, tuląc się do idącej jak kaczka Walerki.

A gdy na koniec mali goście ze dworu weszli do izby Pazdurski skinął natychmiast na muzykantów żeby grać przestali. Zerwał się z ławy, rzucił się do drzwi na swych krzywych nogach i z przesadną uniżonością zaczął się kłaniać dzieciom do samej ziemi.

Mówił:

— Dziękuję! Dziękuję! pokornie dziękuję za łaskę. Taki wielgi honor mnie spotyka . . . Do grobowej deski będę wdzięczny. Wprawdzie spodziewałem się widzieć tutaj samego pana dziedzica, ale trudno.

I przymrużając chytrze jedno oko dodał po chwili:

— A dziwię się, że go nie ma! Tak osobliwe wesele nie często się widzi. Panna młoda maluchne dzieciątko na rękach piastuje, ale mniejsza. Z nią to będę miał czas się rozprawić.

Ujął Zbyszka za rączkę i poprowadził do stołu, na którym były porozstawiane wyszczerbione talerze z pokrajanym chlebem i serem, a także spora flaszka z wódką.

Sięgnął po kieliszek, napełnił po brzegi i podał malcowi, mówiąc:

— Młodziuchny pan dziedzic, to już chyba poczęstunkiem nie wzgardzi.

Poklepał się z uciechy po udach i wykrzyknął:

— Patrzajta ludzie! Patrzajta! O jak to mały panicz sprawnie łyka wódkę i nawet się nie skrzywi. Tak, tak. Nie daleko pada jabłko od jabłoni. Młody dziedzic w tatusia się wdał. Dziewczyny i wódka. — Wódka i dziewczyny.

Splunął, roztarł butem i dodał:

— A ty, durniu, żeń się . . .

— Et! Stul gębę. Lepiej byś głupstw nie wyplatał przy dzieckach — napomniała gajowego jedna ze starszych kobiet.

A druga dorzuciła:

— Pyskować, to umiesz, ale krowę toś chętnie brał.

Tej krowy, to mu już wszyscy zazdrościli.

Tymczasem Zaza i Gola — porzucone przez Walerkę i bardzo onieśmielone ciżbą tłoczących się ludzi — szukały wzrokiem Tereski.

Dostrzegły ją w końcu.

Zwrócona plecami do grona weselników siedziała chmurna i nadąsana w ciemnym kącie za półką z garnkami. W ramionach pohuśtywała dziecko.

Co jakiś czas postrojone drúhny zbliżały się do niej, poklepywały ją po plecach i mówiły:

— Na miły Bóg, Tereska, nie upieraj się jak ten kozioł, a ostaw to dziecko. Niechaj sobie pośpi spokojnie w komorze. Takie niańczenie bachora wcale nie pasuje do panny młodej. Ludzie oglądają się na ciebie. Całkiem nieładnie wychodzi.

— A niechaj — wzruszyła ramionami. Na złość będę niańczyła. Dużo me tam obchodzi co ładnie, a co nieładnie.

Z Zazą i z Golą, które do niej podeszły, przywitać się znowu nie chciała.

— Idźta sobie — burknęła, odsuwając je dłonią.

Nagle zagrzmiała muzyka.

— Dziś, dziś, dziś — podrygiwali parobcy, chwytając wpół stłoczone przy kominie dziewczyny.

Wionęły barwne spódnice.

Za małym okienkiem czworaków ukazały się głowy ludzkie. Twarze z rozpłaszczonymi nosami przywarły do szyb. Oczy łyskają ciekawie. Ścigają powiewające w oberku szerokie kiecki druhen . . .

W drzwiach ciżba. Tłoczą się starsi gospodarze na gapę. Chłopy już dobrze podchmielone podrygują w takt muzyki:

— Dziś, dziś, dziś . . .

Ekonom i gorzelany — zaproszeni na to wesele — usunęli się do sionek. Nie chcą zawadzać tańczącym, częstują się papierosami i mówią:

— Czy nie uważasz pan, że od jakiegoś czasu nasz lud więcej dba o porządki. Staje się czystszy. W tej izbie całkiem schludnie wygląda . . .

— No tak! Nie przeczę, ale ta czystość jest bardzo powierzchowna. Ten zapach, ten zapach . . .

— Bo nigdy nie chcą wywietrzyć swych mieszkań. No i myją się . . . tego . . . nie bardzo.

— Ale patrzaj no pan. Przecież ten malec całkiem urżnięty — wskazywał gorzelany palcem na Zbyszka. — Należałoby zabrać go stąd jak najprędzej. Biedaczek! Tylko pośmiewisko z siebie robi.

Istotnie.

Kilka kumoszek, już dobrze podciętych, wzięło malca w obroty. Postawiły go na stole i prosiły żeby im coś zaśpiewał.

I przyuczały go jakiejś sprośnej piosenki.

Ale Walerka nie miała ani czasu, ani ochoty myśleć o dzieciach.

Spocona i rozczerwieniona rej wodziła wśród druhen.

A chyba zmieniła podarowane jej pantofelki, bo hasała w najlepsze.

PROJEKTOWANA PODRÓŻ

Dzieci były z boną w stołowym pokoju i zajadały na podwieczorek chleb z powidłami, gdy oto nadszedł telegram do dworu, zaadresowany do cioci Tuni.

— Może od jakiego kawalira — podrwiwała Walerka, wręczając dzieciom depeszę. — No to jej poszukajcie, bo jo nie mam czasu.

— Gdzież ciocia Tunia? Gdzież ciocia Tunia — biegały dzieciaki po wszystkich pokojach powiewając telegramem nad głową.

Ten „kawalir" bardzo im trafił do przekonania.

Znalazły ją w końcu.

Była w spiżarni. Obielona jak młynarz wydzielała kucharzowi mąkę na kluski.

— Cóż to za inwazja — zdziwiła się.

— Nie inwazja, a telegram . . .

Dalszy ciąg nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

GWIAZDOR

M. A. HESSEL

Popręgi napinały się, jak struny, strzelając i trzaskając sucho, — chwila a prysną, jak nitki. Konie chrapały, wydymając piersi, robiły mocno bokami, bezradnie grzebały kopytami w miejscu, nozdrzami niemal ryjąc ziemię w straszliwym wysiłku, by ruszyć z miejsca platformę — na nic! Sierść lepiła się im od potu, który strumyczkami spływał po ściemniałej lśniącej skórze, biała piana opadała z wędzideł.

— Haj, a beeej! hooo! ho-o-o! — pokrzykiwali woźnice zachęcająco, gromko trzaskając z biczów dla postrachu. Zaprzęg podrywał się znów — kłębiło się sześć ciał, dwanaście par nóg rozpaczliwie usiłowało zwyciężyć przeszkodę, daremnie. Rozmiękła od kilkudniowych deszczy gliniasta gleba złośliwie wchłonęła w siebie potworny ciężar: olbrzymie, dziesięciometrowe kamienne ciosy, wiezione do budowy nowego skrzydła dworskiego. Koła zapadły w błotną ziemną maź do pół osi.

Administrator majątku Łachety stał opodal pod jaworem, intensywnie pracując głową, badawczo spoglądając na rozmiękły grunt, na mokre od wysiłku umęczone i dyszące konie, na słupy kamienne, zwalone wzdłuż platformy — i uderzał się szpicrutą po cholewach, zafrasowany i zły.

— Nie pójdzie, panie inżynierze! Niepotrzebnie marnuję szkapiny zwrócił się spotniały Józef do administratora. Zdjął czapkę i rękawem ocierał czoło.

— Wyprzęgać! — padło krótko spod jaworu.

Fornale spojrzeli pytająco.

— Jeden mi na konia i do dworu! — rozkazywał administrator. — Wyprowadzić Tytana i Gwiazdora, szmaty na łby, deski na rogi i tu! Za darmo będą żarły?

Fornale natychmiast wyprzęgli konie i odprowadzili pod drzewa. Schyliły ku ziemi zmęczone pyski, poczęły węszyć głośno ku trawie. Potem jęły skubać delikatnie, zagarniając spienionymi jeszcze wargami. Administrator poklepał je po kłębach uspokajająco.

— Biedaki! Mokre, jak z kąpieli!

Józef po chwili skoczył na oklep na jednego z koni i ruszył niezbyt spiesznie, by konia oszczędzić, do dworu.

— Wincenty! hallo ... Wincenty! — wołał zaraz w dziedzińcu.

... a co?? — spytała służba dworska.

— Inżynier kazał wyprowadzić buhaje. Konie w trzy pary nie mogą poradzić.

— Starszy dziedzic wysłał Wincentego do miasta. Nie przyjedzie, aże wieczór.

Adam kłopotliwie strzelił palcami.

— Bieda, bieda. Ot! Ano — trzeba samemu! A jak tam Gwiazdor?

— Dobrze. Spokojny jest. Dopiero co żreć dostał.

Poszli do obory, do przegrody Gwiazdora. Przepiękny olbrzymi holender, czarny jak noc i jak noc posępny, spojrzał spode łba przekrwionymi ślepiami. Cudne rogi pochyliły się nieco. Józef podszedł z boku i szybko narzucił mu worek na głowę, okręcił. Buhaj już był przyzwyczajony do tych rzeczy, stał zupełnie spokojnie, więc fornal odczepił łańcuchy, owinął je sobie krótko w okół garści i wywiódł olbrzyma na dziedziniec.

— Szmaty! Szmaty! Deszczółki dawać, żywo!

Ruchy ludzi były niepewne i trwożne, gorączkowe, wskutek tego nieco nieudałe. Szmaty zamiast na łeb byka, spadły na ziemię. Józef zaklął i schylił się pospiesznie, zwalniając automatycznie ucisk łańcuchów. Gwiazdor wyczuł to, podrzucił niecierpliwie rogami, szarpnął się i wyrwał. Skoczył wprzód. Worek narzucony w oborze na łeb rozluźnił się, począł furkotać koło oczu i jeszcze bardziej rozdrażnił buhaja. Gwiazdor ujrzawszy światłość słoneczną, przestrzeń dziedzińca i kilku ludzi wokół siebie, runął wprzód jak burza, w złowrogim pobrzęku łańcuchów i zwalił Józefa z nóg. W mgnieniu oka przycisnął go łbem do ziemi, gniotąc mu kilka żeber. Byłby go rozniósł na skrawki, gdyby mu inny ludzki cień nie mignął przed oczami. Gwiazdor poniechał omdlałego Józefa i buchnął za tamtym, który błyskawicznie uskoczył w bok i jak wiewiórka śmignął na drzewo. Gwiazdor walił rogami w pień — na szczęście gruby, aż dygotały gałęzie. Tymczasem służba porwała Józefa i wniosła do oficyn.

Przy stajniach ukazała się dziewczyna stajenna z pękiem koniczyny na plecach. Gwiazdor dojrzał ją natychmiast, skurczył się, zgiął w kabląk, wyprężył ogon, który jak bicz zawisł nad nim — i jak czarna śmierć pognał ku dziewce. Wrzasnęła, puściła koniczynę i zdążyła jeszcze wskoczyć do stajni, zatrzaskując drzwi za sobą i zasuwając rozpaczliwie rygiel. Gwiazdor bił łbem w zamknięte drzwi, aż konie przysiadały na zadach. Wreszcie zemścił się na koniczynie, roznosząc ją w puch i rozrzucając wokół.

W mgnieniu oka dziedziniec opustoszał, jak cmentarz. Przerazona służba przez parterowe okna podglądała buhaja, który szalał, miotał się jak szatan wyzwolony z piekieł, dawno zgubił worek i łańcuchy, i krążył upiornie, śmiercionośnie, wreszcie zajął zaczepno-obronną pozycję na samym środku dziedzińca pod kasztanem, gubiąc się nieco w jego rozłożystych cieniach. Patrzył. Przekrwione ślepia toczyły wokół badawczo: ptak nie przefrunąłby niezauważony!

Służba w śmiertelnym lęku i niepokoju przeglądała spojrzeniem ogrody, ścieżki i furtki, czy ktoś nie idzie — i dusze pomdlały we wszystkich: środkiem głównej alei, wysadzanej akacjami, szedł młody dziedzic z rękami w kieszeniach, lekko i swobodnie. Szedł prosto na kasztan. Był jeszcze daleko, ale buhaj zwrócony bokiem do głównej alei, niechybnie zauważy go natychmiast.

— Do dziedziczki! Do młodej pani! Gdzie pani??

— U siebie! — odkrzyknęły dziewczęta.

Blady jak trup lokaj wpadł bez pukania do pokoju młodej Łacheckiej.

— Ratunku, pani! Gwiazdor zerwał się Józefowi z łańcuchów, połamał mu żebra, Jacek siedzi na drzewie, jak zakamieniały, Jadwiśka zaparła się w stajni! Gwiazdor wariował, a teraz stoi pod kasztanem i wyślepia się jak czort dokoła, a tu młody pan wraca z młyna akacjową drogą! W mig go Gwiazdor zobaczy! Co będzie, pani?

Różowa twarz dwudziestoletniej dziedziczki zbielała. Poderwała się szybko i wybiegła. W swej powiewnej sukience spływała jak błękitny ptak po kondygnacjach.

* * *

„Gwiazdor" był pierwszym cielęciem, które urodziło się, gdy „nastała" młoda dziedziczka. Miał szczęście. Skazano go bowiem na śmierć, zanim jeszcze olbrzymia rasowa „Księżna" wydała go na świat. Ojciec jego Smok i starszy brat Tytan wystarczali.

Ale osiemnastoletnia „Pani" ujrzawszy prześliczne cielę, jak aksamit czarne i miękkie, przytulne, pierwsze cielę, które przyszło na świat odkąd została łachecką panią, tak sobie upodobała czarnego jedwabistego skazańca, że rozpłakała się i tupiąc nogami oznajmiła mężowi, że natychmiast umrze, jeżeli zabiją, albo sprzedadzą to cielę.

Wobec tak okropnej groźby 24-letni „pan" nie tylko zabronił tknąć cielę, ale rozkazał, by zaraz oddano je Księżnej, która awanturowała się za synem, aż drżały obory. I oto wybraniec fortuny stał się okiem w głowie. Służba chodziła koło niego na palcach, dziewczęta dworskie całowały go i pieściły, by pochlebić młodej Łacheckiej, która królowała wszechwładnie. Nawet „starszy dziedzic", świata nie widzący za synową, dopytywał o rogatego szczęśliwca. Administrator pewnego wieczoru zapukał do pokoju młodej pani i z ukłonem zapytał, jakie imię ma być wpisane w metrykę nowonarodzonego.

W obliczu tak ważnego problemu młoda pani nazajutrz zaraz z rana poszła z mężem do obory. Pieściła i głaskała wyrwane śmierci aksamitne zwierzątko, tuląc swą jasną różaną twarz do prześlicznej głowy cielaka. Na samym środku tej głowy jaśniała biała jak śnieg duża plamka, kształtem swym do złudzenia przypominająca migocącą gwiazdę. Dziedziczka podrapała cielę w ową gwiazdę, a w pół godziny później urzędnik dworski wpisywał w księgi rodowe obory, że dnia tego a tego z Księżnej i Smoka urodził się — Gwiazdor.

... i nie było chyba dnia, by młodsza „pani" nie zajrzała do pupila. Znosiła mu łakocie: sól i ulubiony biały chleb pszenny. Własnoręcznie zawiesiła mu na szyi dzwonek na błękitnej wstążce. Gwiazdor pobrzękiwał srebrzyście, brykając z zadartym ogonem — ot, jak cielę ... — po zielonych pastwiskach, wesoły, śliczny, ulubiony. Doszło do tego, że gdy tylko niebieska sukienka mignęła koło pastwiska, cielę biegło momentalnie, węsząc mokrym atłasowym pyskiem w drobnych dłoniach, które nigdy nie były próżne.

A we dworze nie działy się dziwy? Ileż było w albumach fotografij młodej dziedziczki z ulubieńcem. Często służba, widząc panią na leżaku w ogrodzie, przyprowadzała jej lub na rękach przynosiła Gwiazdora. Gdy był jeszcze mały, opierała go sobie przednimi nóżkami o kolana, pieszcząc i całując po aksamitnym łebku. Gdy podrósł nieco, układał się sam u jej stóp na trawie, albo stał obok, pochylając wykłuwające się różki, co oznaczało, że życzy sobie by go drapała po gwiazdce.

Jak pies polazł raz za nią do parterowej jadalni i szwendał się impertynencko, przewracając krzesła. Lokaj, który z oburzeniem zastąpił mu drogę, dość długo cierpiał na ucisk w żołądku i ból w brzuchu, w które ugodził karzący łeb Gwiazdora.

I tak rósł, coraz większy, coraz silniejszy, coraz piękniejszy. W miarę, jak przybywało mu miesięcy, ubywało swobody i wreszcie zamknięto Gwiazdora w obszernej, jasnej od słońca przegrodzie, do której przez wielkie, uchylane skośnie okno, dochodziły ogrodowe poszumy, polne powiewy, świeże powietrze i masa słońca.

Był już dojrzałym byczkiem, bo miał prawie rok, gdy „zdenerwował" się okropnie w swej przegrodzie i nawet Wincenty, opiekun, wychowawca i żywiciel, nie mógł go uspokoić. Zamknięty lecz nie uwiązany, miotał się, huczał jak potępieniec, racicami darł podłogę, rozsadzał potężnym cielskiem deski przegrody. Polecono po młodą dziedziczkę. Dopiero jej głos pieściwy i słodki, wymawiający jego imię i obiecujący wiele rozkoszy, uciszył Gwiazdora. Przemawiała do niego, karciła, upominała, wsunęła rękę między poprzeczki, a buhaj rozgłośnie obwąchał tę rękę znaną, najmilszą — i ucichł. Wówczas weszła do przegrody i założyła łańcuchy. Łasił się pokornie, schylając łeb i mrużąc ślepia, a pani dawała mu wreszcie jakiś smakołyk, ciastko albo skruszoną na drobno bułkę, którą zjadał, dmuchając szeroko w jej roztulone dłonie.

I chory był raz — owszem! Przyszła zaraza i młode pogłowie bydlęce kładło się pokotem, a co słabsze padało. Gwiazdor nie padł, bo był silny (jak byk), bolało tylko to i owo, coś we wnętrzu paliło, jakby rozżarzone węgle wpadły w księgi ... Leżał na słomie, zgaszony i smutny, obojętnie patrząc w twarze wchodzących i wychodzących ludzi. Nic go nie obchodziło — i nikt. Miał wstręt do siana, do trawy, do koniczyny, soli nawet nie chciał, tylko pił. Ale dzień w dzień skulała się obok błękitna postać i głaskała po zdeterminowanym łbie, po karku, po piersiach, łaskotała delikatnie po gwiazdce, a błękitne oczy zaglądały łzawo w olbrzymie, gorejące i przelśnione gorączką oczy chorego zwierzęcia. Najmilszy głos mówił, mówił ... leczył ... goił ... Weterynarz ratował z wysiłkiem, zachęcany wysoką nagrodą — aż wreszcie Gwiazdor ciężko dźwignął się ze słomy, nabrał apetytu i ... tupetu. Po staremu lepiej było nie zbliżać się za nadto, chyba — chyba, że było się Wincentym, albo (zwłaszcza!) panią!

A teraz oto wyzwolił się z klatki, z łańcuchów, szalał, dybał na jakąkolwiek żywą istotę, by ją nogami rozedrzeć na szmaty. Nawet Wincenty w tej chwili nie ryzykowałby ... nie ryzykowałaby z pewnością młoda pani Łachecka — ale nie można było czarnej furii rogatej zostawić na dziedzińcu, na zagładę każdemu, kto krokiem wstąpi w obręb dworski. Przy tym chodziło w tej chwili, juz ... zaraz ... o cały świat: o męża! o niego!!

Serce łomotało w niej i pulsa waliły w skroniach. Pierwszy raz w życiu uczuła lęk przed Gwiazdorem.

Wyjrzała przez okno. Buhaj stał pod drzewem, niecierpliwie bijąc ogonem o boki, ryjąc ziemię racicami od czasu do czasu i obracając pochylonym łbem.

A młody pan zbliżał się niefrasobliwie. Czarna czupryna migoce w słońcu coraz wyraźniej ... niemal można pochwycić już słuchem melodię gwizdu ...

Jak szybki cień przesunęła się pani koło służby, wystającej w oknach, przebiegła przez jadalnię, porywając z kredensu biały chleb; na rozkaz przyniesiono jej natychmiast z kuchni kawał białej jak śnieg krystalicznej soli. Skoczyła ku głównym drzwiom.

Lokaj zastąpił jej drogę, ale odsunęła go lekko, lecz kategorycznie. Kilku mężczyzn wystąpiło za nią, by w razie potrzeby poświęcić się dla jej ocalenia, a ona zeszła po schodach i poczęła iść zwolna w stronę kasztanu.

— Gwiazdor! Gwiazdorek! — zadźwięczało w powietrzu drżąco, ale głośno.

Dojrzał natychmiast mały kształt, który oderwał się od schodów i śmiał iść ku niemu ... W jednej sekundzie olbrzymie czarne cielsko zwinęło się, jak piłka. Ogon począł się prężyć i wznosić straszliwie. Rogaty łeb przypadł niemal do ziemi, która masą grud prysnęła wokół na kilka metrów w górę, spod ryjących wściekle racic.

— Gwiazdor! Gwiazdor! Na-na-na! — zbliżał się słodki dźwięk. Równocześnie do przekrwionych ślepi doszedł błękit łagodny i jasny, jak samo ukojenie.

— Gwiazdor! Masz. Chodź tu, Gwiazdorek! Masz!

Racice orzą ziemię, ale coraz wolniej, coraz słabiej. Gorejące ślepia wpiły się w nadchodzący — coraz bliższy — błękit.

— Gwiazdor! Gwiazdor!

Coś ubezwładnia i przykuwa do miejsca oszalałe zwierzę. Może dalekie, echowe wspomnienie najsłodszych, dosłownie „cielęcych" lat ... gdy z zielonych błoni biegło się ku niej w podskokach, z dzwoneczkiem na błękitnej wstążce. A może świadomość pieszczotliwości i miękkości dotknięcia pachnących rąk ... może bliski smak białego podarunku, który — jak zawsze! — jaśniał oto, zbliżał się, podchodził, pieścił oczy, wśród drgającej najmilszej namowy:

— Gwiazdor, chodź tu, chodź ... masz ...

Tętniąca i hucząca po głowie zwierzęcia krew odpływa zwolna. Wzrok jaśnieje. Wyraźniej słuch i nie tylko chwyta dźwięki — ale i rozumie. Racice znieruchomiały. Grzbiet wyprostował się i wyrównał, ogon opadł. Gwiazdor podrzucił ślicznymi rogami i uniósłszy łeb, już go nie opuścił w dół. Czarna góra robi krok naprzód, ale w tej chwili błękitny kształt stanął tuż, śmiejąc się srebrzyście.

Wilgotny czarny pysk wtulił się momentalnie w wyciągnięte ręce. Kruszony palcami chleb znika powoli, ale bez przerwy. A potem najmilsza sercu i ozorowi słona białość błysnęła tuż ... Gwiazdor kręci łbem i liże chciwie, łakomie.

— Toś ty taki, Gwiazdor? Toś takie nikczemne, złe byczysko ... — gromiła, drapiąc go po gwiazdce podniesionym z ziemi kamykiem.

Młody Łachecki wszedł na dziedziniec — i skamieniał. Odruchem gniewu i lęku ruszył spiesznie ku żonie, ale wstrzymała go natychmiast żywym podniesieniem ramienia. Zrozumiał. Ruchem ręki raz jeszcze nakazała mu zatrzymać się. Stanął i czekał. Zwolna poczęła się cofać, głaszcząc i pieszcząc bez przerwy strasznego faworyta. Zdążała ku oborze, a buhaj, widomy słodyczą jej wezwania i kryształową bielą przysmaku, ruszył z miejsca i stąpał, potulnie jak pies szedł za nią, olbrzymi jak góra, jak szatan czarny i groźny.

Śmiała się, wyzywając od zbójów i niewdzięczników, groziła na przyszłość, a buhaj mrużył ślepia, i zamaszyście podążał ozorem za usuwającą się bielą. I szedł za nią ... jak wówczas ... jak dawno ... na zielonych przegrzanych słońcem błoniach, gdy na błękitnej wstążce trząsł się mu srebrzyście mały dzwonek.

Służba wychylała się przez okna, obracając głowy za przedziwną dwójką w miarę, jak oddalała się ona w stronę obory.

Jacek zeskoczył z drzewa, prostując zdrętwiałe kości. Służąca lękliwie, a przedwcześnie uchyliła drzwi stajni, ale Gwiazdor, przechodzący tuż, zignorował ją. Posłusznie wlazł do obory i wcisnął się za błękitną plamą do swojej przegrody. Brzęknęły łańcuchy, podnoszone po drodze przez dziedziczkę — a po dziedzińcu rozległ się radosny trzask otwieranych drzwi.

Gdy płowa główka młodej pani rozbłysnęła znów na dziedzińcu, otoczył ją momentalnie rój ludzi. Młody Łachecki przypadł do żony i chwycił jej ręce. Była bledziutka, jak opłatek, a oczy jej srebrzyły się łzami.

— Jedź autem po lekarza! Natychmiast! Co z Józefem? — zwróciła się do służby.

— Przytomny.

— Pluł krwią?

— Nie! Boli go tylko „na wnątrzu".

Odetchnęła.

W pół godziny potem lekarz orzekł, że Józef będzie żył i że nic mu nie będzie. Trzy dolne żebra były zgniecione nieco, jedno złamane, ale niegroźnie. Ułożono go troskliwie na łóżku, a dziedziczka wzięła na siebie wypełnianie wszystkich poleceń lekarza i pielęgnację chorego.

* * *

Purpurowe słońce kryło się w gałęziach. Niebo przystroiło się różową łuną, a ciepły wiew rozganiał resztki chmur. Młodzi dziedzice jechali stępa świetlistą szosą, a fornale wiedli na łańcuchach dwa czarne olbrzymy.

Głowy Gwiazdora i Tytana owinięte były szczelnie szmatami i powrozami, na rogach zwisały deszczółki, kryjące przód i boki czoła i oczu.

Buhaje szły na oślep, bezwolne i niewidzące. Wprzągnięto je do platformy.

— Wio-o-o-o! — cmoknął woźnica na zwierzęta. Strzelił bicz. Olbrzymy dygotały i drżały pod oślepiającymi je zasłonami. Szał ponosił je. Mięśnie wyprężyły się, grzbiety wygięły, jak łuki. Platforma uniosła się cała momentalnie, jak powietrzna kwadryga. Koła poczęły obracać się wartko, zwyciężając lepką niewolę i rozoryując, jak pługi, rozmiękłą ziemię, we dwie strony.

Fornale ze wszystkich sił dzierżyli byki za łańcuchy przy pyskach.

— Cicho, Gwiazdorek, cicho ... No-ooo! Nooo! — uspokajał z wysokości końskiego grzbietu kobiecy głos. Buhaje zwolniły nieco i szły miarowo, lekko, nie czując za sobą ciężaru ...

GRA ...

W noc — z upojeń cichą i modrą
miłość uderzy w serce najsilniejszym akordem
na strofach Twej pieśni usnę, usnę ...

Na klawiaturze mąk księżyc położył swe ręce
miłosną melodią jesienie roztęczył
w ulewie Twych pieszczot i muśnień.

Usta są nagle od róż krwawych — krwawsze
gdy w pocałunkach rozmodlą swe: zawsze, —
(„zawsze będę przy tobie ma miła")

... a rozstanie czyha i w stąpaniach już dudni
powlecze mnie chłód wszystkich studni,
gdy Tobie już — będę się tylko śniła.

Amalia Łoczyńska

RZECZY CIEKAWE

250-LECIE SZPILKI DO WŁOSÓW



I nawet taki drobiazg, jak szpilka do włosów, doczekał się pierwszego bądź co bądź jubileuszu.

W 1656 roku sławny pisarz ówczesnej epoki Armando Sincera doradza w słowach tchnących poezją i wykwintem pięknym paniom, aby swe bujne loki upinały złotymi „iglicami". Niebawem elegantki XVII wieku zastosowały się do rady Sincera i tak oto powstała data narodzin szpilki do włosów.

Szpilki te wtedy popularnie zwane iglicami, były długości około 25—30 centymetrów. Zrobione były całe ze złota, a główki wysadzane były drogimi kamieniami.

Amarand w swoich kronikach pisanych w 1715 roku, daje dokładny opis tych szpilek, nie wspomina on jednak o szpilkach zgiętych w pół, o kształcie obecnie używanym.

W encyklopedii Cedlera, wydanej w 1733 roku, znajdujemy również dłuższy artykuł o „iglicach" ze srebra, złota i „nawet z bronzu".

Pierwszą wzmiankę o szpilkach do włosów zrobionych ze zgiętego drutu, znajdujemy w listach z podróży sławnego w drugiej połowie XVIII wieku podróżnika Henryka Sandersona. Oto, co pisze Sanderson:

„Po raz pierwszy ujrzałem w Niemczech, że kobiety z ludu upinają swe włosy śmiesznymi i dziwnymi szpilkami, które są wyrabiane ze stali. Są one przegięte przez pół, stanowią jakby wydłużoną „podkowę" i malowane są na kolor czarny lub granatowy.

„Przywiozłem ze sobą parę takich szpilek, które różnią się zasadniczo od dawnych złoconych iglic i o ileż są brzydsze od tamtych".

Szpilki, o których wspomina Sanderson, zalewają wprost rynki świata już w początkach XIX wieku.

Różni są dziwaczni zbieracze na świecie. Mamy więc zbieraczy: pudełek do sardynek, korków od butelek, przepalonych żarówek, krawatów, dlaczego więc nie miałoby być zbieracza szpilek do włosów!

Poznałem takiego dziwaka w jednej małej mieścinie. Miał wcale imponujący zbiór, bo aż 4320 sztuk. O samej wartości zbioru niech świadczy to, że zaasekurowany jest od kradzieży na 45 tysięcy dolarów.

Najcenniejszą w tym zbiorze to szpilka Katarzyny II. Jest ona szczerozłota, długości 35 cm. Główkę stanowi cudownie szlifowany szmaragd 20-karatowy. W szmaragdzie jest wyrzeźbiona litera K.

Obecnie w powszechnym użytku będące szpilki, wyrabiane z falującego druciku stalowego, pojawiły się po raz pierwszy we Francji w grudniu 1826 roku.

Zapewne nie wszystkie panie wiedzą, że stare przysłowie głosi, iż gdy niewieście wypadnie szpilka z włosów, wtedy traci jednego adoratora . . ."

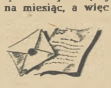
. . . a więc piękne panie . . . baczcie na szpilki!

LIST MIŁOSNY — STATYSTYKA

Z głębokim wzruszeniem przestępowała pani Duramage próg pokoju córki w przepiękny poranek tego wielkiego dnia. Colette leżała jeszcze w łóżku, a siedemdziesiąt tysięcy jasno blond włosów otaczało jej główkę promienną aureolą.

— Ależ... dziecko moje... przecież... — wykrzusiła na jej widok matka — dziś, w dzień twego ślubu z panem Baumartin.

— Wiem, co chcesz powiedzieć, droga mamo — przerwała jej młoda dziewczyna. — Dziwisz się, że jestem tak spokojna. Ale pomyśl... Istnieje mniej więcej osiemset milionów kobiet na kuli ziemskiej; odliczamy od tej sumy dwieście dwadzieścia pięć milionów dziewcząt, które zbyt młodo umierają, by w ogóle zdążyć poznać miłość. Pozostaje jeszcze pięćset pięćdziesiąt milionów kobiet, które jednak przez tę miłość przejść muszą. Przypuśćmy, że liczba ta odnawia się zawsze w ciągu pięćdziesięciu lat, a i tak przypadnie wtedy na jeden rok jedenaście milionów, stąd mniej więcej dziewięćdziesiąt tysięcy na miesiąc, a więc trzydzieści tysięcy na jeden dzień. Jestem więc zaledwie jedną trzydziestotysięczną tego olbrzymiego kolorowego tłumu. W tych okolicznościach nie wolno ci nawet wymagać, mamo, żeby mnie ten zupełnie pospolity wypadek wyprowadził z równowagi i ażeby pierś moja podnosiła się przyśpieszonym tempem 34 do 40 razy na minutę, zamiast normalnych 20 uderzeń.



I Colette wzięła ponownie do ręki — a robiła to przeciętnie siedem i trzy czwarte raza w ciągu godziny — ostatni list swego narzeczonego i poczęła czytać półgłosem:

„Nie piszę Ci, że jesteś najpiękniejszą kobietą świata. To byłoby zbyt trudne do udowodnienia — a więc niegodne uczonego — twierdzenie. Ale skoro przyjmę, ze Stratz miał rację, wskazując, że na tysiąc kobiet przypada tylko jedna prawdziwa piękność, wtedy dochodzę do, w każdym bądź razie, zadowalającego wniosku, że Ty, z mniej więcej dwustu milionów kobiet Europy, należysz do tych dwustu tysięcy najpiękniejszych.

A gdy przyjmę, że w Europie jest około dwustu milionów mężczyzn, muszę dojść do wniosku, że na jednego mężczyznę przypada jedna tysięczna część pięknej kobiety, a na każdego tysiącznego mężczyznę — jedna piękna kobieta. Ilość zawodowych statystyków Europy określam w przybliżeniu na dwa tysiące, to znaczy: jeden statystyk na sto tysięcy mężczyzn. Rozumiesz chyba, że widoki statystyka na ożenek z piękną kobietą są tak małe, ze statystycznie prawie niemożliwe do obliczenia. A ja odpowiednio z tym z dumą muszę stwierdzić, że jestem jedynym statystykiem Europy, który się ożeni z jedną z tych dwustu tysięcy najpiękniejszych kobiet europejskich. Łatwo Ci więc będzie przedstawić sobie cyfrowo ogrom mego szczęścia, zwłaszcza, jeżeli weźmiesz pod uwagę, jak bardzo zmniejszają się, dzięki naszemu małżeństwu, szanse pozostałych tysiąca dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu statystyków".

HIGIENA SNU.

Najdoskonalszym sposobem wypoczynku dla każdego żyjącego ustroju jest sen. Ale sen jest czymś więcej aniżeli tylko wypoczynkiem. W przeciwnym razie wystarczyłoby nam jedynie oderwanie się od zajęć i trosk. Tymczasem bezsenność nas wyczerpuje, a sen pokrzepia.

Jak więc osiągnąć zdrowy sen? Przede wszystkim usuńmy z obrębu świadomości zmartwienia i w ogóle żywe zainteresowania z minionego dnia. Zostawmy mózg wolnemu kojarzeniu: niech nas myśli prowadzą. Poza tym zastosujmy przed snem mądrą dawkę zmęczenia fizycznego na świeżym powietrzu. Odnosi się to przede wszystkim do osób, prowadzących siedzący tryb życia. Również ciepła kąpiel bezpośrednio przed snem, nie nadmiernie ogrzany i dobrze przewietrzany pokój, możliwie z dopływem świeżego powietrza (w lecie nawet przy otwartym oknie) grają bardzo ważną rolę. Po kąpieli umyjmy twarz w ciepłej wodzie, po czym nasmarujmy skórę kremem odpowiednim dla naszej cery, następnie wykonajmy automasaż twarzy. Również ważne będzie oczyszczenie jamy ustnej i zębów przed nocnym spoczynkiem. W czasie snu bowiem resztki pokarmów, pozostałe w ustach, byłyby doskonałą pożywką dla stałych jej mieszkańców — bakcyli. Najkorzystniej działa nieznaczny dodatek oczyszczonej sody (w proszku) do wody przeznaczonej do płukania ust, gdyż bakcyle te źle się czują w środowisku alkalicznym. Nadto słaby roztwór zapobiega tworzeniu się kamienia nazębnego. Wieczorem nie spożywajmy obfitego posiłku i to przynajmniej na 3—4 godziny przed zaśnięciem.



Posłanie nasze nie powinno być zbyt miękkie — najodpowiedniejsze będą materace. Śpijmy na prawym boku, gdyż spanie na lewej stronie utrudnia pracę serca, wskutek wywieranego na nie ucisku.

Podczas snu przyzwyczajajmy się do wyprostowywania dłoni. Od zaciskania jej przez całą noc w pięść tworzą się brzydkie zmarszczki i woreczki na stawach palców.

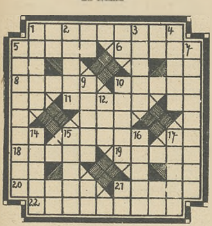
I pamiętając, że sen przed północą ma większą wartość i że człowiek stale niedosypiający starzeje się znacznie szybciej, kładźmy się wcześnie, a wraz z odzieniem odrzucajmy nasze troski i kłopoty, by sen był prawdziwym odpoczynkiem spracowanego układu nerwowego.

Kaz. Laudan

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA

ul. Nemo

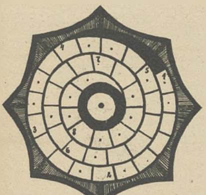


Znaczenie wyrazów: Poziomo: 1. Port nad morzem Azowskim; 5. Styl w sztuce od połowy XVI w. do połowy XVIII w.; 6. Oprzęd, który wytwarzają dookoła siebie niektóre owady; 8. Rzeka w Szwajcarii i Francji płd. wsch.; 10. Podręczny notatnik; 11. Rodzaj balkonu otoczonego balustradą; 15. Odebranie z powrotem rzeczy lub osoby przez złożenie pewnej sumy pieniężnej; 18. Ubiór liturgiczny duchownego; 19. Pomieszczenie dla samochodów (wspak); 20. Żegnam w języku francuskim; 21. Słuszność; 22. Wniesienie, zapisanie do akt jakiegoś dokumentu.

Pionowo: 1. Inaczej bicz; 2. Obóz otoczony wozami (wspak); 3. Okręg administracyjny w dawnym Egipcie i współczesnej Grecji; 4. Wielowarstwowa tkanka wtórna, okrywająca starsze gałęzie, pnie i korzenie; 5. Pieśń gondolierów weneckich; 7. Tęsknota za krajem rodzinnym; 9. Okrutnik, ciemięzca (wspak); 10. Starodawna męska szata pokojowa; 12. Odstęp czasu; 14. Dolna część twarzy; 15. Figura w kartach; 16. Błazen, akrobata cyrkowy, śmieszek; 17. Imię żeńskie.

ŚLIMACZNICA

ul.: Reichel z Jasła



W powyższą figurę należy wpisać w kierunku wskazówki zegarowej wyrazy o następującym znaczeniu:

1. pora roku; 2. półwysep na m. Czarnym; 3. śpiewak nordycki; 4. dawka lekarstwa; 5. utwór literacki wyśmiewający wady; 6. zbiór ustaw, praw; 7. świt; 8. nieduży.

Litery przypadające na kratki z punktami czytane również dośrodkowo dadzą rozwiązanie.

TELEGRAM

ul.: J. Stamper ze Stanisławowa

KOŁO
B. JODŁA
KONIE DLA JANA
IDA BEP.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie.

ZNAWCA PRZYRODY

Jasio, lubi się bardzo chełpić. Jako „wielki" znawca przyrody opowiada, że raz w czasie wycieczki napotkał w lesie dęby, buki, modrzewie, grusze i inne drzewa liściaste. Spośród owadów interesowały go oprócz bąków i chrząszczy najwięcej pająki. Pewnego razu, gdy wędrował w kierunku zachodnim stepu zaskoczył go nad wieczorem ulewny deszcz, a potem mógł podziwiać tęczę, która prawie przed jego oczyma się utworzyła. Przypadkiem miał przy sobie małą szpilkę namagnetyzowaną, włożył ją do kałuży i w ten sposób otrzymał wcale niezły kompas.

Co nie odpowiada prawdzie w opowiadaniu „wielkiego" znawcy przyrody?

Badacz Afryki: — Ja marzę zawsze tylko o niezdobytych terenach.
— Tym bardziej dziwi mnie to, że się pan ożenił z wdową.

•

— Pan konsyliarz był dwa miesiące na urlopie? A co robili przez ten czas pana pacjenci?
— Dobrzy ludzie! Nie chorują, gdy ich nie leczę.

•

— Ja kocham pańską córkę od piętnastu lat.
— Więc czego pan chce?
— Chcę się z nią ożenić.
— I więcej nic?... Ja już myślałem, że pan chce emeryturę.

•

— Kelner! Ten befsztyk jest strasznie mały.
— Nic nie szkodzi, pan sobie nawet nie wyobraża, ile pan czasu zużyje, aby go zjeść.

•

— Chciałbym chociaż jeszcze raz w życiu wygrać na loterii.
— To pan już raz wygrał?
— Niestety, nie. Ale już raz chciałem.

•

Dwóch małżonków spotyka się. Jeden z nich się żali:
— Okropną jest rzeczą ożenić się.
— Jak długo jest już pan po ślubie?
— Dwa dni!
Drugi śmieje się gorzko:
— Dwa dni? I już pan narzeka? Co ja mam mówić!?
— Jak długo pan jest już po ślubie?
— Osiem dni.

•

— Wczoraj powiedział mi Janek, że jestem najładniejszą dziewczyną, jaką on kiedykolwiek widział.
— To samo mówił mi on zeszłego roku.
— Być może, sądzę jednak, że jego gust musiał się w międzyczasie znacznie poprawić.

•

Ona: — A więc czekaj na mnie o 6-tej wieczorem pod zegarem!
On: — Dobrze, a o której przyjdziesz?

•

Sędzia: — Czy oskarżony kradnąc auto miał jakiego pomocnika?
Złodziej: — Ależ panie sędzio, komu można dziś zaufać?

•

Konduktor: — Proszę tu nie wsiadać, tu przedział dla kobiet.
Pasażer: — Niech pan będzie spokojny, dam sobie z niemi radę.

•

— Więc pan, panie Kazimierzu, chce zostać moim zięciem?
— Ha! Cóż robić! Muszę, skoro chcę się ożenić z córką pani.

•

Bankier: — Dlaczego usunięto pana z ostatniej posady?
— Bo uciekałem z żoną szefa.
— Doskonale przyjmuję pana.

•

Pewna dama kierując autem, spostrzegła, jak dwóch robotników zajętych przy naprawie słupów telegraficznych wspina się na nie.
— Głupie ludziska — zawołała — przecież nie pierwszy raz prowadzę auto, nic wam się nie stanie.

•

Do wróżki przychodzi gość:
— Chciałbym, żeby mi pani przepowiedziała, co mnie jeszcze w tym roku czeka?
Wróżka po długim namyśle mówi:
— Niech się pan strzeże przed pewną osobą, która staje panu na drodze.
— Czy by nie lepiej było, gdyby pani zechciała ostrzec ową osobę. Jestem bowiem szoferem.

•

Pani daje żebrakowi talerz zupy.
— Czy wielmożna pani sama gotowała tę zupę? — zapytuje żebrak po spróbowaniu paru łyżek tejże.
— Tak jest, ja gotowałam. Ale dlaczego pytacie mnie o to?
— Ma pani szczęście, że jestem tylko żebrakiem, a nie jej mężem.

•

— Jakim jest twój nowy profesor?
— Zdaje się, że bardzo pobożny.
— Z czego to wnosisz?
— Bo ile razy mnie wyrwie, a ja mu odpowiadam, załamuje ręce i mówi: „Boże! Boże!"

•

U pośrednika małżeństw: — Niech mi pan wierzy, tak pięknej, dobrej, skromnej dziewczyny więcej pan nie spotka. Jest łagodna, miła, mówi czterema językami, maluje, jest muzykalna, a przy tym gospodarna.
— Po co tyle słów. Powiedz pan po prostu, nie ma nic.

•

— Tu oto, mój panie, mieszka człowiek, który chowa najpiękniejsze gołębie, jakich prawie nigdzie indziej nie można ujrzeć.
— Dziwi mnie jednak, że nie widać ani jednego gołębia.
— Bo właśnie je chowa.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



NA WYCIECZCE W GÓRACH

Przewodnik: — O, tam, tam w głębi, panowie, widać wspaniałe zbocza Babiej Góry.

Wiener Illustrierte

— Ach, panno Lolu, pani jest rano ostatnią, a wieczór pierwszą moją myślą.
— A dlaczego nie odwrotnie?
— Bo jestem nocnym stróżem.

•

Urzędnik: — Doprawdy, nie wiem, co robić? W jedynym ubraniu, które mam wyglądam jak dziad, a jeśli sobie nowe sprawię, wtedy naprawdę zostanę dziadem.

•

Krawiec dał sobie u lekarza zaszyć ranę na ręce:
— Com za to winien panie doktorze?
— 50 złotych.
— Co, aż pięćdziesiąt złotych za tych parę ściegów? A cóżby pan doktór policzył w takim razie sobie za uszycie ubrania?

•

— Absolutnie, nie daję nic żebrakom! Jałmużnę mogę dać tylko naprawdę ubogim.
— Dobrze, ale jak stwierdzisz, że to rzeczywiście ubogi?
— Prawdziwie biedny, jest za dumny, żeby brać jałmużnę.

— Czy świnia jest pożyteczną?
— To zależy od tego, czy jest to człowiek, czy zwierzę.

•

— Duszo moja, ja chciałbym ci nieba przychylić!
— Wiem o tym, żeby samemu pozostać na ziemi.

•

Sędzia: — Panie Karpiel, świadkowie twierdzą, że masz dwie żony: jedną w mieście, drugą na wsi: jakże to się urządzacie?
Oskarżony: — Panie sędzio, mam rower . . .

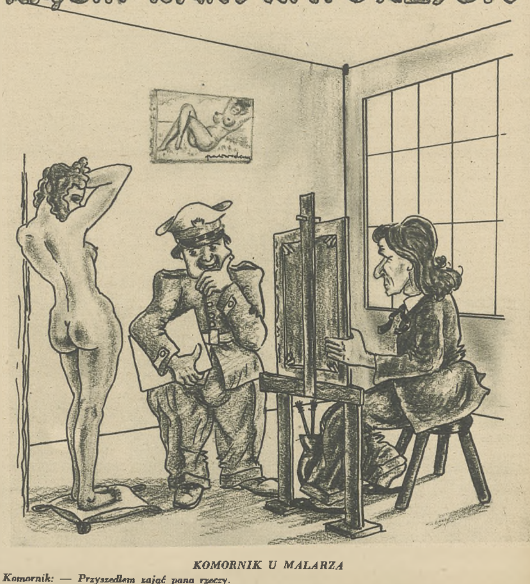
•

— Moja żona straszliwie kaszle. Od trzech dni nie mogę zmrużyć oka.
— To zawołaj lekarza.
— Już nie warto, przecie jutro wyjeżdżam.

•

— Dlaczego Lili nie wychodzi za mąż?
— Czeka na swój ideał.
— A kto jest tym ideałem?
— Pierwszy, który będzie się chciał z nią ożenić.

KĄCIK KARYKATURZYSTY

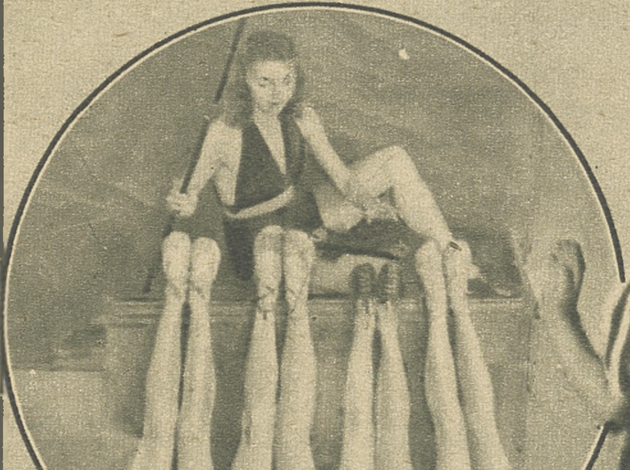


KOMORNIK U MALARZA

Komornik: — Przyszedłem zająć pana rzeczy.
Malarz: — Ależ, panie, ja nic nie mam, u mnie istna golizna!
Komornik (spoglądając na modelkę): — ... i to nawet rozkoszna... golizna...

Rys. Michał Andrusyn — Tarnopol

Odpoczynek dla nóg „pod batutą" mistrzyni.



Baletniczki z grupy „zaawansowanych"; wśród nich Czibi, Zosia, Basia, Lili, Krysia, Miriam i Dzidka. U dołu: Baletmistrzyni p. Irena.



W świątyni Terpsychory

Taniec baletowy jest połączeniem dwóch czynników: ruchu i akcji, formy i wyrazu. Ruch musi być bezpośrednim obrazem uczuć, akcja zaś winna być przejrzystym i zwartym przetworem fantazji literackiej. Wtedy dopiero taniec staje się dziełem zrozumiałym nie tylko dla fachowca, lecz i każdego uczestnika z widowni.

Do osiągnięcia tych wymogów współczesnego baletu, prowadzi ciężka droga, żmudnej pracy i graniczących z samozaparciem, poświęceń. Chcąc pokazać Czytelnikowi, przyzwyczajonemu do oglądania baletu, jako gotowego widowiska, „odwrotną stronę medalu"— postanowiliśmy przekroczyć progi świątyni Terpsychory, która, o czym wie niewielu, ukryła się niemal w centrum śródmieścia Krakowa. Kapłanką w tym przybytku Muzy tańca jest baletmistrzyni p. Irena Michalczykówna.

Były późne godziny popołudniowe gdy nacisnęliśmy klamkę do pokoju przyjęć. Panuje tu ożywiony ruch. Grupa młodych, rozemocjowanych dziewcząt otacza wieńcem biurko, przy którym pani, przyjmująca zapisy, udziela przyszłym tancerkom bliższych informacyj. W powietrzu krzyżują się pytania, na które padają rzeczowe odpowiedzi. Dowiadujemy się z nich, że każdej chętnej uczennicy stoi otworem droga do spróbowania swych sił na parkiecie. Wiek i zasób posiadanych już umiejętności decyduje o przydzieleniu do właściwej grupy. Odpowiedni układ lekcyj, zapewnia równoległe praktyczne i teoretyczne przyswajanie sobie niezbędnych dla tancerki wiadomości. Skala talentu i stopień pracowitości, decydują o postępach i awansie na wyższe kursy. — P. Michalczykówna, powiadomiona o niespodzianej wizycie, wychodzi na nasze spotkanie z sali ćwiczeń w efektownym stroju gimnastycznym i z uśmiechem zaprasza nas do wnętrza. — Na straży obszernej sali stoi otwarty fortepian. Przy nim skupiła się grupa młodych adeptek tańca. Żadna z nich nie liczy ponad 18 lat. Większość nosi malownicze kostiumy do ćwiczeń, reszta krótkie szorty i bluzki gimnastyczne. Z objaśnień mistrzyni dowiadujemy się, że teraz właśnie odbywają się ćwiczenia kursu najwyższego t. zw. „grupy występowej". W skład jej wchodzą poważnie zaawansowane uczennice, których część przeszła już chrzest sceniczny w czerwcu br. podczas występu zespołu p. Michalczykównej w „Starym Teatrze". Artystka układa właśnie obraz taneczny dla swego zespołu. Prosimy artystkę o pozwolenie przyglądnięcia się pracy. Siadamy cicho, w skupieniu. Mistrzyni ustawia uczennice w dwu grupach po rogach sali, daje znak pianistce, staje w pośrodku sali i pod kanwę muzyki improwizuje przerwany, naszym zjawieniem się, taneczny fragment. Z kolei właściwa część zespołu próbuje odtworzyć go, dając obraz swych zdolności pamięciowych i poziomu technicznego. Potem, pod ten sam muzyczny motyw, druga część zespołu otrzymuje właściwą rolę. Ruchy poszczególnych tancerek, szkicowane kolejno przez mistrzynię, uplastycznia w końcu cały zespół, umożliwiając nam wzrokowe uchwycenie kompozycji. Stwierdzamy z satysfakcją, że aparycja, talent i technika młodych tancerek pozwala spodziewać się ich bliskich sukcesów scenicznych.

— Z radością witam każdy objaw inwencji u moich uczennic — mówi p. Michalczykówna — i próby samodzielnego przetwarzania muzyki. Jest to dalszy krok w drodze do osiągnięcia dojrzałości artystycznej. Do ćwiczeń akompaniują dwie wytrawne pianistki pp. St. Brożkówna i dr. H. Gajewska. Żegnamy artystkę, notując jeszcze, że p. Michalczykówna w oparciu o swój młody zespół przygotowuje widowisko baletowe „Wieszczka Lalek".



Irena Michalczyk w „tańcu węgierskim".



W kole:
Irena Michalczyk w „Orientalu" najefektowniejszym numerze ostatniego wieczoru baletowego w Krakowie.

Poniżej:
Oto jak wyglądają malownicze „arabeski" i technicznie doskonałe „mostki".

Poniżej w kole:
Zespół baletowy podczas ćwiczeń.



Poniżej:
Zasłuchane w nową melodię, młodziutkie adeptki choreografii improwizują już w myśli kompozycję taneczną.





Fot: Borek 3
Orlewski 4